

Rozdział 3. Gdańskie domy

Do Sewilli, do Sewilli!
Tam sąsiedzi pozdrawiają,
Panny z okien wyglądają,
Aby podlać swoje kwiaty.
Ach, tam tęskni serce me!

Clemens Brentano

Znamię dawnego, wielkiego dobrobytu i wypływające stąd prawdziwe zamięłowanie do okazałości pozostawiło tak głęboki ślad na moim mieście rodzinnym i do tego stopnia z całą jego istotą jest związane i zrosnięte, że zmodernizowanie miasta byłoby niemożliwe bez zburzenia go całkowicie i zbudowania nowego Gdańska na miejscu starego.

Jak niegdyś we wszystkich złączonych miastach starego Związku Hanzeatyckiego¹ stoją w nim domy zwrócone ku ulicy szczytową stroną. Wydają się więc nie tylko bardzo wysokie w porównaniu z ich szerokością, ale są nimi w istocie i muszą być takie, aby uzyskać konieczną dla mieszkańców przestrzeń życiową, zbyt skąpo im używaną z powodu ograniczenia miasta murami obronnymi. Dla tych samych powodów wgrzebywali się nasi przodkowie głęboko w ziemię, budując ciągnące się pod domami, nieraz dwupiętrowe, rozległe piwnice. Sklepienia ich wznoszą się na kilka stóp ponad poziom ulicy i tworzą rodzaj suterren, urządzonych nieraz jako dość wygodne, ani wilgotne, ani zbyt ciemne mieszkania. Schodzi się do nich z ulicy, a poszukiwane są przez szcotołkarzy, wikliniarzy, a zwłaszcza przez sprzedawców owoców, jarzyn i mleka.

Moje rodzinne miasto różni się od wszystkich innych do niego podobnych starych osiedli bardzo osobliwymi szczegółami budowlanymi. Główne ulice w Gdańsku są znacznie szersze niż gdzie indziej.

Na przestrzeni między stojącymi naprzeciw siebie rzędami domów mogłyby dwa, a nawet trzy pojazdy wyminąć się wygodnie i po obu stronach zostałyby jeszcze sporo miejsca na wyłożone płytami chodniki. Tymczasem ulica przeznaczona dla ruchu kołowego i pieszego jest do tego stopnia wąska, że nawet doświadczony woźnica nie zawsze może uniknąć kolizji z kolegą nadjeżdżającym z przeciwnej strony, a w tłok ten wpadający przechodnie mają sporo kłopotu, aby przede wszystkim ocalić zdrowie.

Ogólną przyczyną tego niezwykłego zjawiska są tak zwane przedproża przy wszystkich domach, w Gdańsku najzupełniej odmienne od przedproży w Hamburgu lub Lubece. Lecz z czymże należy je porównać, aby w przybliżeniu dać pewne wyobrażenie o tych prawdziwych propylejach², dzięki którym północne miasto zyskuje prawie południowy wygląd. Za czasów mojej wczesnej młodości spędzano na nich znaczną część domowego życia ze swobodą dzisiaj niepojętą, prawie tak jak na otwartej ulicy.

Nie można nazywać tych przedproży balkonami. Są to raczej przestronne, dosyć szerokie terasy, wyłożone wielkimi płytami kamiennymi, ciągnące się wzdłuż fasad domów. Prowadzą do nich szerokie, wygodne schody, a kamienne ogrodzenia zabezpieczają od ulicy. Pomędzy przylegającymi do siebie przedprożami sąsiednich domów wznoszą się przymurki cztery do pięciu stóp wysokie, stanowiące ich rozgraniczenie. Na tych przymurkach spoczywają w kamiennych korytach rury blaszane, zbierające z dachów wodę deszczową, wypływającą na zewnątrz przez paszcze ogromnych, nieraz prawdziwie artystycznie wykutych z kamienia głów delfinów lub wielorybów.

Wszystko to, co do niedawna było pogardzane jako starofrancuskie, zagarnia od pewnego czasu pod swą potężną opiekę pod nazwą rokoka³ moda – najbardziej kapryśna władczyni. Niechby się jej spodobało rozciągnąć tę opiekę i na gdańskie przedproża! Trudno bowiem znaleźć wspanialsze rokoko, które byłoby bardziej jej godne!

Za czasów mojej młodości domów o więcej niż trzech oknach od frontu było w Gdańsku stosunkowo niewiele. Należą one dziś jeszcze do wyjątków. Znacznie częściej spotyka się dwuokienne, a jakże nagie i jak żałośnie osamotnione wznosiłyby się te na cztery do pięciu